TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 46. *Chicago, Ills., 12 Maja, 1887 r.* Rok III.

NOC Z 3-go NA 4-ty GRUDNIA,

NA ZASADZIE AKT SĄDOWYCH

— opisał —

WALERY PRZYBOROWSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Ja nie mówiłem, żem ten grób czyścił.

— Nie mówiłeś?

— A nie, ja mówiłem, żem czyścił groby a nie ten grób.

— Otóż mylisz się — panie Łopatkiewicz, przeczytaj mu pan protokół.

Kancelista głosem nieco przez nos przeczytał odnośny ustęp.

— I cóż, spytał sędzia, nie tak mówiłeś?

— A nie, pan pisarz się przesłyszał.

— Niech i tak będzie, rzekł sędzia, ale w każdym razie powiedz mi, coś robił przy tym grobie o 8-ej rano.

— A nic, przechodziłem tamtędy, więc przystanąłem i słuchałem.

— Czegoś słuchał?

— A hałasu jaki ludzie za murem sprawiali.

— I niceś jeszcze wtedy nie wiedział o morderstwie.

— Nic.

— Więc stanąłeś przy tym grobie tylko na chwilę.

— Tak.

Podsądny odpowiadał teraz krótko, namyślał się nad każdem słowem, jakie miał powiedzieć, widocznie przejęty był ważnością sytuacyi i oskarżenia.

— Kiedy nie chcesz prawdy wyznać, rzekł sędzia uroczyście, to ja ci powiem coś robił przed tym grobem o 8-ej rano. Zacierałeś starannie ślady butów podbitych ćwiekami, które miałeś w nocy na nogach — ale nie dokończy-

łeś swej roboty bo ci przeszkodził Walusiak. Zostały się więc dwa ślady, które cię zdradziły. Cóż na to powiesz?

— Nic, nie zacierałem żadnych śladów, w nocy nie miałem żadnych butów na nogach, nie mam nawet takich butów.

— Nie masz wcale takich butów! A! prawda, mówiłeś dziś nawet, że masz tylko jedną parę butów.

— Nie mówiłem tego.

Sędzia spłonął gniewem, widocznie podsądny postanowił wszystkiemu zaprzeczać; tłómaczył się wolno, ciężko, z namysłem i źle się wysławiał, ale zwięźle i stanowczo.

— Jakto nie mówiłeś tego hultaju? krzyknął sędzia.

— Nie mówiłem wielmożny sędzio.

— Ejże! bo cię każę w kajdany zakuć.

Grabarz na to nic nie odrzekł, tylko zrobił giest poddania się i rezygnacyi.

Sędzia przeszedł się po pokoju, ochłonął i namyślał się. Podsądny stał spokojny, milczący, z okiem w jeden punkt zwróconem.

Nagle sędzia stanął przed nim i zapytał:

— A zkąd ty masz tyle butów i sukman na górze u siebie?

Podsądny zmieszał się nieco i odrzekł:

— To nie są moje sukmany.

— A czyje?

— To u mnie zastawili.

— Kto zastawił?

— A różni.

— Naprzykład?

— Ej! czy ja tam pamiętam, chłopi ze wsi, Walusiak sam także ma buty.

— To ty na fanty dajesz?

— A daję.

— A zkądże ty masz pieniądze?

— Mam trochę grosza.

— Ile masz?

— Dwadzieścia rubli.

— Powiedz kto u ciebie zastawił?

— Ha! różni. Ja nawet nie wiem jak oni się tam nazywają, przyjdzie, zastawi buty lub sukmanę i basta.

— I Walusiak zastawił u ciebie buty?

— A zastawił.

Sędzia znowu umilkł. Podsądny bronił się dzielnie i na każdem kroku mięszał szyki inkwirentowi.

Zadzwonił i gdy woźny wszedł, szepnął mu do ucha. Woźny wyszedł i po chwili wrócił, niosąc jakiś przedmiot owinięty suknem. Sędzia wyjął z niego latarkę i kawałek świecy znaleziony w grobie — a pokazując to wszystko Postrachowi spytał:

— Wszak to twoja latarka?

Grabarz obejrzał ją i rzekł:

— Nie, nie moja, ja wcale takich świec nie mam.

W istocie świeca była stearynowa.

— Więc to nie twoje, porwał się sędzia.

— Nie moje — panie sędzio.

— Więc ty nie otwierałeś dziś w nocy grobu murowanego?

— Nie!

— Kłamiesz! otwierałeś, byłeś tam by zrzucić ze siebie pokrwawioną sukmanę i buty, morderco!

— Nie otwierałem i nic nie zrzucałem, nie jestem mordercą.

— A to oszaleć przyjdzie z tym łajdakiem! Hej! odprowadzić go do więzienia.

Grabarz spojrzał z podełba na sędziego i rzekł:

— Za co mię pan więzi, ja nic nie jestem winien.

— Kłamiesz! ja ci z pod serca wszystko wydobędę zbóju, precz! do więzienia. Kajdany mu włożyć na ręce i nogi. Ha! zbrodniarzu....

Sędzia był zły, trząsł się cały. Sledztwo ani na krok nie postąpiło. Postanowił zabrać się do dzieła systematycznie, dowiedzieć się o przeszłości grabarza, o jego opinii.

Ściągnął po południu Walusiaka i przekonał się, że grabarz w istocie dawał na fanty, że uchodził za człowieka stosunkowo zamożnego, że w rezultacie nie miał dobrej opinii, chociaż nikt nie umiał mu żadnego pozytywnego zrobić zarzutu.

Przed wieczorem zmordowany i zgryziony całą tą sprawą, której nici rwały mu się co chwila, wybadał jeszcze żandarma, który pierwszy spostrzegł zbrodnię.

— Zkąd wracałeś? pytał go sędzia.

— Jechałem od Barana panie sędzio.

— O której godzinie wyjechałeś w drogę?

— Była może jedenasta w nocy.

— Jadąc nikogo nie spotkałeś na drodze?

— Prawie nikogo, spotkałem koło Słomnik kilka fur chłopskich jadących ze zbożem.

— Zresztą nikogo? przypomnij sobie dobrze, ważna to jest rzecz. Nie spotkałeś mężczyzny i kobiety jadących razem.

— Nie!

— Pomyśl dobrze — zastanów się.

— Nie.... wprawdzie spotkałem na drodze ku Działoszycom jakiegoś mężczyznę, który jechał bryczką.

— Jakto, sam jechał?

— A sam.

— Jak wyglądał?

— Nie wiem — noc była zimna, więc był dobrze osłoniony futrem, przytem było to w lesie i ciemno choć oko wykol.

— Nie spytałeś go się, co za jeden?

— Owszem, prosiłem go o paszport.

— I dał ci go?

— Dał, ale że było ciemno więc nic przeczytać nie mogłem, tylko spytałem jak się nazywa.

— I jakże się nazywa?

— Wacław Rudzki.

— Więcej nic nie wiesz?

— Nie wiem.

— Która mogła być godzina jakeś go spotkał?.

— Było około 3-ej rano.

— A zkąd jechał?

— Zdaje się, że ztąd, od X***

— To dobrze, możesz iść.

— A więc i tu żadnych wskazówek — szepnął sędzia po wyjściu żandarma. O 3-ej godzinie rano, a więc w trzy godziny po zbrodni, mógł daleko więcej ujechać jak ujechał. Wreszcie był sam, a tu jest kobieta. To nie ten!

— Ach! tę kobietę znaleźć, tę kobietę! dodał po chwili, pół życia gotów jestem dać za to.

Robiła się już noc, wczesna, ile że grudniowa, szybka i ciemna. Wraz z nią, z ciemnościami nieujętych kształtów i barw, poczęły się roić widma przed sędzią. Ten mord posępny, straszny, tajemniczy, dusił go jak Makbetowe amen, ścigał jak duch Banka. Trząsł się cały w dziwnem wewnętrznem przerażeniu.

Powstał, okrył się futrem i wyszedł na ulicę, jeszcze dość ruchliwą, bo dopiero szary wieczór rozkładał swe poetyczne opony na świat i ziemię. Zapalano światła w oknach, rzadkie latarnie olejowe i powoli uciszał się gwar miejski. Powietrze było chłodne — mróz brał na wieczór i niebo mrugało tysiącami tych brylantowych pyłków, a które jednak są światami całymi. Natura była spokojna, cicha, drzemiąca tak samo jak wczora, jak przed miesiącem, przed wiekiem i tysiącami wieków. W niezgłębionych otchłaniach wszechbytu czuwał Bóg, czuwała siła, które te miryady dzierżyła w porządku. I nic się tam nie zepsuło, nic nie wyszło ze swej kolei, po której od milionów lat toczyły się te olbrzymie, świetne jak złoto i brylanty, cielska. Spokój drgał w wszechświecie, ten spokój straszny w sobie i wspaniały zarazem, spokój nieskończoności.

Sędzia zdumiał się tej ciszy klasycznej, zimnej marmurowej takiej w sobie — zdumiał się, bo w nim rozpoczęły szalony taniec wszystkie namiętności i wszystkie uczucia człowieka rozdrażnionego do głębi. Szedł z czapką zaciśniętą na uszy, z kołnierzem od futra podniesionym, szedł szybko, choć nie wiedział gdzie idzie.

— A! co to jest, co to jest? szeptał od czasu do czasu.

Nagle na rynku zatrzymał się, podumał, zawachał, spojrzał na zegarek.... i.... ruszył naprzód.

— Pójdę, bo inaczej oszaleję chyba. Trzeba się przekonać, dowiedzieć.... i.. raz niech się to skończy. Ach! moje serce, moje serce — jęknął idąc naprzód.

Szedł ulicą w której mieszkał znany nam już z wczorajszego preferansa Z***.

Nagle uderzył się ręką w czoło, zatrzymał i szykbo w bok skręcił. Tu w cieniu pod murem jakimś stanął i rzekł:

— Poczekajmy, zastanówmy się co robić i jak. Pajprzód zbadajmy jej postępowanie wczorajsze. Siedliśmy do preferansa o godzinie siódmej — nie widziałem jej wcale aż do herbaty, którą dano o dziewiątej. Dwie godziny! herbatę piliśmy ze trzy kwadranse, bo nam się spieszyło do kart. Siedziała milcząca, niespokojna, blada.

I poczęło mu się przy nadzwyczajnem natężeniu pamięci wszystko przypominać z przedziwną jasnością i rość w straszliwą potęgę, w oskarżenie.

Myśląc drżał na całem ciele i otulał się futrem.

— Blada! powtórzył, tak, była niezwykle blada, aż jej się pytałem czy nie słaba. Powiedziała mi.... cóż mi powiedziała? a! że ją gło-

wa boli i zaraz po herbacie wyszła. Znów jej nie było aż do trzech kwadransy na dwunastą. Wtedy... cóż wtedy? a! to okropne! to okropne!

Pobiegł naprzód stanął przed domem Z***. Znów się zatrzymał i szepnął:

— Cóżem ja jest szpieg czy nie szpieg?

— Wszak ten Z*** jest moim przyjacielem i szkolnym kolegą, a ja tę dziewczynę kocham. Pod tym protekstem wkradnę się, zaczaję, wyszpieguję, nie! to potworne — to być nie może.

I zawrócił się. Lecz zaledwie uszedł parę kroków, znów się zatrzymał i rzekł:

— Ale nie! ja w tej chwili jestem reprezentantem pogwałconych praw Bozkich i ludzkich. Społeczność dała mi moc i rzekła: mścij się! I muszę się zemścić. Tak, ja nie jestem człowiekiem ale prawem. Pereat mundus fiat justitia!

To mówiąc zadzwonił.

V.

Dzwoniąc szepnął:

— Biegnąc szybko, na przełaj przez pola i ogrody za pięć minut można się ztąd dostać na cmentarz.

Otworzyła mu służąca ze świecą w ręku. Była to dziewczyna tęgo zbudowana, zdrowa, jędrna, wcale ładna i zgrabna. Oblana czerwonem światłem świecy, na ciemnem tle sieni w wandykowskim efekcie się rysowała.

Spostrzegłszy sędziego cofnęła się nieco wstecz z zalotną minką, bo z doświadczenia wiedziała, że sędzia acz miał głowę szpakowatą, był gorącym zwolennikiem ładnie utoczonych biustów i lubiał takowe nietylko wzrokiem obejmować; tą razą jednak sędzia stał we drzwiach dziwnie poważny i surowy.

— Pana nie ma w domu, rzekła dziewczyna.

— Nie ma? a gdzież jest?

— Poszedł pan na spacer ze starszą panią, ale zaraz wrócą. .

Starszą panią nazywano daleką krewną pana Z***, która od czasu jego wdowieństwa pełniła obowiązki gospodyni domu.

— To dobrze, a panna Marya jest w domu?

— O! panienka proszę pana jest słaba.

— Słaba? a cóż jej jest?

— Panienka od rana jest chora.

— A! od rana, czy leży?

— Nie, teraz już nie leży. Jak na obiad wstała, tak już się więcej nie położyła. Może się pan chce widzieć z panienką, to dam znać — dodała z filuterną miną.

— Nie, nie potrzeba.... albo.... czekaj!

Zamyślił się chwilę.

— Dobrze, daj znać pannie Maryi, że jestem i jeżeli będzie się chciała ze mną widzieć, to mi powiesz — zaczekam w saloniku.

Zrzucił futro i przeszedł do niewielkiego pokoju, zwanego w języku partykularza, pokojem bawialnym.

Dziewczyna zapaliła lampę i pobiegła.

Został się sam. Przez chwilę stał milczący, prawie skamieniały, z czołem bruzdami zoranem, z groźnem jowiszowem brwi zmarszczeniem, z oczami wlepionemi w słabo palącą się lampę.

Po niejakim czasie przetarł ręką czoło, westchnął głęboko i począł chodzić wielkimi krokami po pokoju, szepcząc od czasu do czasu:

— Słaba, słaba! i to od rana....

Zatrzymał się przed oknem i patrzał na iskrzący się śnieg na ulicy od mrozu i migotliwego blasku gwiazd.

— A jednak żegnając nas wczoraj, była zdrowa ...

Umilkł, oczy rękami zakrył i stał jak posąg boleści. Z głębi duszy, z serca rwały mu się, tłumione a gwałtowne łkania. Zdawało się że pęka mu tam coś w piersi od bólu wielkiego, niesłychanej grozy, zawodów, rozpaczy nawet....

O! są to chwile takie w człowieczem życiu, że nie życzyłbym ich nawet wrogowi mojemu — a mam tylko jednego wroga! Są to chwile dziwnej, nieoświeconej najlżejszym błyskiem czarności — chwile, w których ściera się powoli z duszy i serca ów brzoskwiniony pyłek najserdeczniejszych, najtkliwszych uczuć — uczuć, z któremi w szarą godzinę żywota człowiek pieści się jak z pierworodną dzieciną swoją. Niestety! przychodzi rzeczywistość w całej swej wspania-

łej grozie i majestacie, i zostawia w duszy Hamletowe zwątpienie, apatyczną obojętność i milczącą rozpacz. Cóż robić? umrzeć? ba! a któż wie? może śnić przyjdzie tylko.... kto to wie!....

Do saloniku weszła panna Marya. Nie mieliśmy wczoraj czasu przypatrzeć jej się bliżej, bo była godzina późna, a sędzia miał przed sobą kawałek drogi do domu. Była to więc dziewczyna lat 20 może, smukła i zgrabna, ze ślicznie utoczonym biustem, ręką i nóżką kopciuszka. Twarzyczka mała, zgrabna, biała o oczach czarnych, rubinowych ustach, o czole zamyślonem i rozumnem, miała w sobie coś nad wyraz miłego i sympatycznego. Nie była piękną, ale miłą niezwykle — powabną, pociągającą ku sobie. Jakiś wyraz zrezygnowanego cierpienia potęgował jeszcze to uczucie sympatyi, jakie w każdym budziła do siebie.

Weszła i rzekła:

— Dobry wieczór panie sędzio, ach! jak to dobrze, żeś pan przyszedł, bo umieram z ciekawości. Proszę siadaj pan, bo ja stać nie mogę.

Wzięła fotel miękki, rzuciła się w niego i z uśmiechem bolesnym patrzała na gościa.

Sędzia zbliżył się, siadł naprzeciw niej i spytał troskliwie:

-- Co pani jest, panno Maryo? czy pani, jest chora?

— Nie, chora nie jestem ale rozdrażniona... słaba wreszcie trochę.

Sędzia patrzał na nią. Była blada jak alabaster, jak Beatriks Czenczi w przeddniu szafotu, z wielkiemi sinemi planami pod oczami. Oczy te wreszcie miała czerwone, dzikie jakieś, ruchliwe i łzawe....

— Widzę, że pani mocno zmieniona — co pani jest? czy panią co boli?

-- Ależ nic mię nie boli, zimno mi trochę, będę miała prawdopodobnie febrę.

— Czy się pani przeziębiła?

Gdy rzucił to pytanie uczuł, że pobladł.

— Chyba nie, czy ja wiem wreszcie, odrzekła obojętnie.

— Czemu się pani nie okryje czem ciepłem, pani tak lekko ubrana.

Była w sukni płócienkowej, ciemnej, do figury....

— Ależ zimno mi znów tak bardzo nie jest, wreszcie tu trochę chłodno.

Proszę pani, niech pani się czem okryje. Ach, prawda, pani ma taki ciepły wygodny szal —ja każę przynieść.

I zabierał się do wyjścia.

— Ale dajżeż pan pokój panie sędzio, nie trzeba!

To mówiąc wstała i zbliżyła się do pieca.

— Zagrzeję się przy piecu. O! bądź pan tak dobry i przysuń mi fotel.

Westchnęła głęboko — w westchnieniu tem drżała przytłumiona na chwilę łza.

Sędzia wziął fotel, ale rzekł:

— Przy piecu niezdrowo siedzieć panno Maryo, niech pani mię posłucha — ja każę przynieść ten szal, to będzie najlepiej.

— Ale nie trzeba!

— Proszę pani bardzo, pani się jeszcze rozchoruje.

Zbliżył się do niej i patrzał jej w oczy.

— Nakoniec, jeśli mię pani nie posłucha, to będę zmuszony odmówić sobie przyjemności bawienia dłużej w pani towarzystwie. Nie chcę, żeby pani z mej przyczyny chorowała.

— Ale mój Boże, czegóż pan chcesz?

— Chcę, żeby pani się okryła tym ciepłym, miękkim, wygodnym szalem kaszemirowym, który widziałem u pani.

— Ach jakiś pan nudny! No dobrze, dobrze!

Zbliżyła się do stołu i zadzwoniła.

Znana nam już dziewczyna wbiegła.

— Przynieś mi kaftanik, albo chustkę do okrycia się.

— Zwracam uwagę pani, wtrącił sędzia, że to wszystko nie zastąpi tego szalu o którym mówię.

Panna spojrzała na niego nieco zdziwiona i zdawało mu się, że usta jej drżały jak w febrze.

— Ale dla czegoż pan chcesz ten szal koniecznie widzieć? zapytała nieco ostro.

— Widzieć? udał zdziwionego sędzia, a pocóż mi to? tylko....

— Przynieś mi chustkę, te w czerwone pasy, rzekła do stojącej wciąż dziewczyny, a gdy ta wyszła, dodała ze swoim bolesnym uśmiechem i ze łzą w głosie — ja nawet tego szalu nie mam w domu.

I rzuciła się na fotel i zakrywszy twarz rękami, poczęła głośno, spazmatycznie płakać.

Porwał się sędzia na równe nogi blady jak

widmo, z oczami słupem stojącemi i cofał się ku drzwiom z ręką wysuniętą naprzód, jak gdyby kogoś odpychał od siebie.

— Nie masz pani tego szalu w domu, szeptał, nie masz szalu? A! to okropne! ja cię tak kochałem!

To mówiąc krzyknął straszliwie i wypadł do sieni a ztąd na ulicę, tak jak stał, bez czapki, bez futra i biegł jak szalony wśród wzmagającego się co chwila mrozu. Ulice były puste i głuche, bo małomiasteczkowym obyczajem, połowa ludności już spała.

Ta cisza i zimno, opamiętały sędziego. Otrząsł się, opanował i pobiegł do domu, wpadł jak furyat, zamknął się na klucz i w straszne, bolesne nad wyraz, pogrążył dumanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ita Hrabina na Toggenburgu.

Historya prawdziwa z XII wieku,

wielce nauczająca — osobliwie dla niewinnie cierpiących,

— przez —

KRZYSZTOFA SZMIDA

przepolszczona przez Ks. E. W.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ. XIV.

Hrabia Henryk na zamku Toggenburgskim po wypchnięciu Ity.

Inaczej całkiem działo się na zamku Toggenburgskim. Skoro hrabiego opuściła namiętność nieludzkiego gniewu, zastanowił się z zimną rozwagą nad tem, co uczynił i zaraz zaczął powątpiewać w duszy, czyli nie za nagle osądził i odepchnął od siebie swą małżonkę. A jeśli ona niewinną, mówił sam do siebie, a jam ją tak okrutnie życia pozbawił, o ileż słuszną natenczas będzie jej skarga na mnie przed sądem Boga! o jakże okropnie będzie wołać jej krew niewinna o zemstę na mnie!

W prawdzie myśl, że ona pewnie była winną, za co odniosła zasłużoną karę, zaspokajała go na chwilę, lecz niedługo dręczyły go nowe wątpliwości. Na nikogo, nawet na najlichszego z moich poddanych nie mam prawa wydać wyroku bez wysłuchania go wprzódy, i jaż to poważyłem się obejść tak srogo z mą lubą małżonką, jak z najnędzniejszą niewolnicą, i do tego jeszcze sam własną ręką stałem się jej katem! A jeśli ona niewinną, straszliwa kara Boża spadnie na mą duszę i będzie mnie udręczać przez całą wieczność. Takie myśli nękały Henryka, a wyradzały się z słusznych wyrzutów, które sam sobie czynił o swą nagłość w gniewie.

Dominiko, jako przebiegły znawca ludzi, przewidywał dobrze, że podobne myśli i powątpiewania nie oszczędzą jego pana, i że tenże pod ich wpływem w chwili zimnej rozwagi mógłby odkryć popełnioną niesprawiedliwość. Lękał się z tej strony powodu do swej zguby. Starał się więc korzystać z zaufania, które w nim Henryk pokładał, i gdy się mu tylko dobra nastręczała pora, utwierdzał zwycięztwo niesprawiedliwości i coraz więcej powagi przybierał. Henryk mu najwięcej ufał, wynurzał więc przed nim smutny stan swej duszy, bo pragnął pociechy i ulgi swemu powątpiewaniem dręczo-

nemu sercu. Spodziewał się je znaleźć u Dominika. Ten zaś nie szczędził trudu, lecz nie zdołał dostarczyć trwalszej pociechy. Spełnione morderstwo starał się pokryć pozorem sprawiedliwości, lecz nie mógł zniszczyć i oddalić dokuczliwych wyrzutów sumienia i wątpliwości.

Nie przestawał jednakże mamić hrabiego przebiegliwemi słowy.

Lecz to wszystko zaspakajało hrabiego tylko na chwilkę. Ciągle się w jego duszy wzmagała coraz to okropniejsza myśl: „Osądziłem i zabiłem ją w gniewie, niewysłuchaną.“ Utracił wesołość serca i rzeźwość umysłu, rysy twarzy, pierwej tak przyjemne, poszpetniały. Zdawało mu się, jakoby czytał w oczach swych sług słuszny zarzut przeciwko sobie; nie śmiał im prawie w oczy spojrzeć. To znowu wystawiał sobie w myśli niewinną Itę jako świętą, otoczoną jaśniejącem światłem niebios, a natenczas niewypowiedziana żałość i najdotkliwsze boleści udręczały jego duszę. W takich chwilach wolał więcej zaufać przebiegłemu zbrodniarzowi Dominikowi, niż poczciwości swej żony. Znajdował bowiem w jego chytrych podstępach jakiekolwiek uniewinnienie swego postępku; a Ita jako nieprzytomna, nie mogła stawać w swej obronie.

Od dnia wypchnięcia Ity, pokój jej nie był odwiedzany od nikogo. I Dominiko go unikał; przy każdem zbliżeniu się doń czuł jak go tajemne wyrzuty jeszcze nie zupełnie zatwardziałego sumienia dręczyły. Dla hrabiego nadto sam pobyt w zamku stał się nieznośnym, gdzie każdy krok przypominał mu Itę. Uciekał z domu, odwiedzał swych bliżej będących, a chętniej swych oddalonych przyjaciół. Szukał sposobu w podróżach, polowaniach i innych hucznych zabawach, by ujść dokuczliwym cierpieniom. Posmutniało na zamku Toggenburgskim.

Wielu bardzo poddanych żałowali swej dobrej hrabiny. Serce zaś hrabiego, jeśli był w domu, podobne było całkiem do podejrzanej wagi, u której raz jedna, to znowu druga szala więcej na dół się chyli, a przed nią stoi zręczny oszust, i ciska nieznacznie swe ciężary do tej szalki, która po wskazującym języczku wagi za więcej sprzyjającą sobie uważa. Trapiła hrabiego także i ta myśl, co tu donieść do Kirchbergu, i jak tam uniewinnić swój postępek? — Podjął się tego Dominiko, i doniósł za rzecz pewną, że Kuno wyznał swe haniebne i szkaradne zajścia z hrabiną, że sprawiedliwość i honor rycerski nie dozwalał jego panu mieć dłużej obok siebie taką małżonkę. Chociaż ztąd pan jego uczuł wielką boleść, nie wypadało mu przecież inaczej, jak za popełnioną zbrodnię śmiercią ją ukarać. Doniósł dalej, że wskutek tego hrabia opuścił zamek i że się udał do swych dobrych przyjaciół w sąsiedztwie, aby tam cokolwiek ochłonąć po tylu zniesionych umartwieniach. Wiadomość taka, gdy doszła do Kirchbergu zgrozą napełniła jego mieszkańców. Nie mogli ani pomyśleć o zemście, czując iż niepodobieństwiem było, aby mogli podołać siłom hrabstwa Toggenburgskiego. Wedle udzielonej im wiadomości, choćby się byli mogli pomścić, zemsta ich nie byłaby sprawiedliwą.

Łatwo sobie wystawić, jakie rządy prowadził bezsumienny Dominiko w Toggenburgu w czasie niebytności hrabiego. Czuł potrzebę rozrywki, szukał jej więc, ile mógł w uciechach i zabawach podchlebiających jego namiętnościom. Sprawiał takowe na koszta swego pana, który jak odjeżdżał, tak samo i powracał zasmucony, nie będąc zdolnym w tem usposobieniu wejrzeć w stan hrabstwa. Na wypadek zaś gdyby hrabia zwrócił swą uwagę na okoliczności majątkowe, wiedział chytry Dominiko, jak sobie zaradzić, i jaką na wszystko dać odpowiedź, aby go zupełnie zaspokoiła.

Tak upływały dni, miesiące i lata na zamku Toggenburgskim. Henryk czuł się nieszczęśliwym i nie zadowolnionym wśród swego pięknego zamku, wśród swych najlepszych przyjaciół, opływając w znacznych skarbach i bogactwach, uciechach i zabawach. Dręczyło go niespokojne sumienie. A Ita żyła spokojna, zadowolniona i szczęśliwa w swej nędznej chatce wśród ubóztwa i opuszczenia. Dobre jej sumienie zaspakajało ją tą pewnością, iż była niewinną i cnotliwą.

ROZDZIAŁ XV.

Ita zostaje odkrytą.

Wkrótce po śmierci niewinnego Kuna, Dominiko innego giermka przeznaczył na strzelca. Zdarzyło się, że ten właśnie był najzaufańszym przyjacielem Kuna i dawniej mu czasem na po-

lowaniu towarzyszył. Wypadek z pierścieniem był mu dobrze wiadomy. W tym nowym obowiązku bardzo często polował w lesie, który nosił nazwę kruczego kamienia. Lecz Bóg najprędszy w swej Opatrzności nie dopuścił mu się zbliżyć do miejsca, w którem przebywała Ita. Siedmnaście lat przeżyła wśród samotności, a nikt się o niej nie dowiedział. Ciągle i dotkliwe doświadczenia tylu lat oczyściły cnotę i niewinność tej kobiety z najlekkszych brudów, z najmniejszej plamki, a nieustanna modlitwa wzmocniła i utwierdziła ją nadzwyczaj. Aż w końcu nadeszła chwila, w której ją Bóg za dostatecznie czystą osądził, aby zajaśniała w oczach całego świata i aby głosiła cześć wszechmocnego swego wybawcy. I Henryk także tak długo doznawał nieustannych zgryzot sumienia, aż zmazał swe błędy i grzechy. Wtenczas dopiero udzielił mu Bóg w zupełności swego miłosierdzia i swej ojcowskiej dobroci. Także i występny Dominiko aż do tego czasu doznawał pobłażania od Boga. Nie podlega wątpieniu, iż Bóg w swej dobroci pierwej chciał czekać tak długo na jego nawrócenie, nim jego grzechy i występki, które mu miały przynieść wstyd i zupełną doczesną i wieczną zatratę, całemu światu ogłosił. Pewnego poranku w czasie pięknej pogody, udał się był ów strzelec zamkowy, o którym już słyszeliśmy, do lasu, kruczym kamieniem zwanego, na polowanie. Na samym wstępie do lasu rozpuścił swe psy gończe, aby szukały zwierzyny, na którą chciał polować.

Psy zapuściły się głękoko w las, przeszukując zarośla i krzaki, a za nimi niepostrzegając tego nawet, zapuszczał się nasz strzelec co raz dalej, i aż tak daleko, jak nigdy wprzódy. Na raz w miejscu, gdzie ziemia była miękka, spostrzega ślady kroków ludzkich. Zdziwił się mocno, jak się mógł znajdować człowiek w tak dzikiem i pustem miejscu, gdy on, chociaż ćwiczony myśliwy zaledwie się tam mógł dostać przez skały i dzikie zarośla. Świstnieniem zwołał psy do siebie i razem z nimi udał się ślad w ślad za zupełnie świeżo wytłoczonymi znakami ludzkiego kroku. Psy, które go poprzedzały, stanęły niedługo u chatki Ity pod starą jodłą. Strzelec wziął chatkę za skałę mchem obrosłą. Ale skoro się zbliżył w miejsce skały znalazł małą starą chatę, a mniemając, iż była mieszkaniem pustelnika, lękał się mimowolnie zajrzeć do niej. Ita bojąc się psów, ani się ruszyła; modląc się z wielką gorącością polecała się opiece nieba w tej nadspodziewanej chwili. Strzelec spozierając przez mały otwór do środka chatki, zobaczył człowieka nędznie ubranego; suknie bowiem Ity pogniły po tylu latach noszenia i zaczęły się rozpadać, nogi i ramiona miała nagie. Aby ile możności zachować dla pokrycia ciała jak najdłużej chociaż zły nawet ubiór, spinała go pilnie cienkiemi włóknami łyka. Zatopiona w tej chwili w modlitwie nie spostrzegła strzelca, aż ją tenże wedle ówczesnego zwyczaju mile pozdrowił i zapytał, coby tu robiła. Wzdrygła się cała słysząc jego pozdrowienie a nie zdołając dać odpowiedzi, podziękowała mu zaledwie lekkiem poruszeniem.

Ita nie wyglądała oni chuda, ani wynędzniała, owszem miała zdrową cerę twarzy; zaś długi przeciąg lat spędzonych na samotności wyrył na jej pobcżnej twarzy rysy wieku czcigodnego. Zawsze jednak mógł ją poznać, kto ją znał pierwej.

Strzelec utopił w niej swój wzrok i zaczął sobie przypominać, że już pierwej gdzieś znał jej twarz; nie wiedział jednak, ktoby ona być mogła. Po tem, co z jej potarganych sukien na niej pozostało, wnioskował, iż była osobą wyższego położenia, co go właśnie naprowadziło na myśl: gdyby nasza hrabina jeszcze przy życiu być mogła, nie byłby to nikt inny, tylko ona.

Jeszcze raz spojrzał ostro w jej oblicze, a zupełna pewność pobudziła go, iż zawołał: „Ach! wszakto nasza ukochana, od wszystkich serdecznie żałowana hrabina! Jakimże to cudem znajduję Was żywych po tylu latach w tej pustyni? Czyż mógł kto inaczej pomyśleć, jak, że spadając z takiej wysokości, nie pozostały z Was tylko małe szczątki? Każdy mniema, iż ciało Wasze już dawno pogniło, a nikomu zapewnie ani przez myśl nie przejdzie, iż jeszcze żyjecie!“

Ita poznała strzelca i widząc iż się przed nim ukryć nie może, rzekła: „Prawda, że nikt nie mógł inaczej sądzić, jak, że ciśnięta z takiej wysokości, roztrzaskałam się na kawałki; ależ Bóg znał moją niewinność, a ojcowskie Jego miłosierdzie, spełniło me prośby łaskawie, i zachowało mnie żywą i nieuszkodzoną. Tak cudownie od Boga zachowana stałam się cała Jego własnością: postanowiłam w duchu poświęcić Mu zupełnie pozostałe dni mojego życia w tej pustyni.“

Myśliwy, który się jej nie mógł dosyć napatrzyć i nasłuchać, przemówił z uszanowaniem: ,,Miłościwa Pani! Wasze tak niezasłużone, tak okropne nieszczęście mnie i wielu innych sprawia jeszcze dotąd wielką boleść. Niezawodnie i hrabia uzna teraz Waszą niewinność i będzie się starał wynagrodzić Wam wyrządzoną z wielu stron krzywdę. Wiadomość, jaką dzisiaj zaniosę do zamku, pewnie będzie pożądaną, pospieszę więc z nią jak najpilniej. Niechaj Was Bóg zachowa i strzeże aż do mego powrotu.“ Mówiąc to chwycił ją za rękę, pocałował ją i oddalił się spiesznie, nie czekając nawet odpowiedzi Ity, która przestraszona nie mogąc przyjść do siebie, nie była mu w stanie odpowiedzieć.

Najwięcej się Ita lękała, aby jej nie przeszkadzano w dotrzymaniu ślubu, którym się była zobowiązała, iż oddzielona od świata dla Boga jedynie żyć będzie. Nie wiedziała, jak sobie ma postąpić, czyli ma uciekać dalej w las i ukryć się tam, czyli też oczekiwać Henryka. Lecz gdy poznała, że i w innej stronie lasu trudnoby jej teraz przyszło pozostać ukrytą, postanowiła pozostać, polecając w gorącej modlitwie całą tę sprawę opiece Boga.

ROZDZIAŁ XVI.

Henryk odwiedza Itę.

Tymczasem strzelec prawie bez tchu przybiegł do zamku, mijając spiesznie bramy i wszystkich których spotykał. Kto go spostrzegł, łatwo wnioskował, iż niesie jakąś ważną i radosną nowinę.

Nikt zaś pewnie nie pomyślał o Icie. Strzelec, skoro był w zamku, udał się wprost do hrabiego, i na szczęście zastał go samego.

Chociaż ledwie oddychał, już wśród ukłonu zaczął tak przemawiać: ,,Miłościwy panie! przynoszę Wam cudowną nowinę. Ufam, że Wam radość przyniesie.“ Hrabia ciekawy usłyszeć kazał mu mówić. ,,Wasza małżonka, hrabina, żyje odkryłem ją“ zawołał strzelec — i zaczął opowiadać, jak ją odkrył i w jakim stanie ją znalazł, że ucałował jej rękę, że ona się wyznała niewinną, jak nędznie była ubrana i inne rzeczy, które mu na myśl przyszły. Całe jego opowiadanie było tak pomięszane, że niejedną rzecz dwa razy opowiadał, nie mogąc swym opowiadaniom znaleźć końca. Hrabia, który mu się ciekawie przysłuchiwał, nie zdołał ukryć zadziwienia, w jakie go ta nowina wprawiła. W końcu głosem, który mu od niejakiegoś czasu był spoważniał, odezwał się do strzelca: ,,To niepodobne do prawdy, aby ciśnięta z takiej wysokości jeszcze żyć mogła; wszak ona się musiała w kawałki roztrzaskać.“ A chociaż czuł, jak mu serce w tej chwili więcej niż kiedykolwiek mówiło, iż ona była niewinną, dodał jednakże: ,,Otrzymała zasłużoną karę.“ Lecz strzelec, który tylko samemu sobie potrzebował wierzyć, i sam widział i słyszał to co opowiadał, zaręczał na wszystko co święte o prawdzie swej nowiny, a nawet na stwierdzenie swego zeznania, ofiarował hrabiemu pod przysięgą swe życie na zastaw. Ponieważ mu słowa hrabiego w tej chwili zdarzenie z pierścieniem przywołały do pamięci, opowiedział wszystko, co mu z tej strony było wiadomo, i spowodował hrabiego, iż tenże postanowił zrobić jak najdokładniejsze poszukiwania, aby raz powziąść zupełną pewność.

Aby wykonać swój zamiar, hrabia niedozwolił najprzód, aby się giermek z kimkolwiek na zamku wdał w rozmowę, lecz mu się kazał natychmiast prowadzić do chaty Ity w lesie. Najdziwaczniejsze myśli udręczały jego ducha, którym pomiatało oczekiwanie. ,,Cóż mam czynić, jeśli istotnie żyje i jest niewinną? Jeśli żyje, więc jest niewinną. Bóg nie byłby tak cudownie ocalił cudzołożnicy. Jeśli jednak jest winną i przyzna się do winy, cóż wtedy uczynię? Inaczej być nie może — jeśli żyje, więc jest niewinną. ,,Tak rozmawiał w duchu sam z sobą i razem z giermkiem szli przez krzaki, i zarośla, przez skały i bezdroża w głąb lasu, aż w końcu giermek stanął i ukazał hrabiemu chatę hrabiny pod starą jodłą.

Ita będąc w trwożliwem oczekiwaniu, spostrzegła zaraz przybycie Henryka. Wyszła z swej chaty naprzeciw niego, chociaż w nędznym ubiorze, lecz z uszanowaniem pozdrawiając go i przyjmując z zwykłą sobie uprzejmością i łagodnością. Henryk ją poznał za pierwszem spojrzeniem. Niezalęknione łagodne oblicze Ity, jej poważna postawa, a obok tego cudowne jej zachowanie, to wszystko było dla niego aż za nadto wystarczającą rękojmią jej niewinności. Uprzejme i pełne słodyczy jej powitanie, wzru-

szyło go do żywego; zawstydzony nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Ucisk serca i głośne łkania nie dały mu przyjść do słowa, upadł jej do nóg, wzniósł do niej ręce i zawołał: „Przebacz, droga niewinna Ito!“ A gdy mu łagodnie podała rękę, nie chciał się jej dotknąć: „Ach, wszak ty niepowinnaś mi przebaczyć. Swięte twe ręce niechaj się nie zbliżają ku rękom zbrodniarza, zmazanym krwią niewinnie przelaną — wyrządzona krzywda jest za nadto wielką — tyle nędzy znieść musiałaś, a ja własną ręką wtrąciłem cię do niej — nie jestem cię godzien widzieć, nie jestem godzien, aby mię ziemia nosiła“ — i potok łez spłynął po jego policzkach.

Dobra i czuła Ita zaczęła z nim wspólnie płakać, chciała go podnieść z ziemi, ale nie była w stanie. Rrzekła więc: „Pociesz się najdroższy Henryku! nie gniewałam się nigdy na ciebie — wiedziałam dobrze, że twe dobre serce nie byłoby zdolne do popełnienia takiej krzywdy, gdyby cię nie oszukano haniebnymi podstępy. Jeśli kochasz twą Itę, która cię zawsze jeszcze kocha, chciej jej usłuchać. Patrz, wszak jestem zdrowa. Bóg mię zachował i pocieszał nieustannie. Widząc cię dzisiaj po pierwszy raz po długich latach, pragnę, abyś ty także doznał pociechy i zadowolnienia.“ Henryk płacząc rzewnie w strapieniu swego serca zaledwie w połowie pojmował słowa Ity; lecz się jeszcze nie mógł odważyć spojrzeć jej w oczy; rzekł tedy: „Niewinna i święta jak anioł niebios jesteś w mych oczach. Mnie zaś dręczy me sumienie i oskarża mnie i potępia jako najszkaradniejszego zbrodniarza. Twa szlachetna dusza przebacza mi wprawdzie, lecz czyliż mi Bóg przebaczy? Sprawiedliwy ów sędzia, który każdego sądzi wedle jego czynów, a nie przebacza zbrodniarzowi, czyliż On mi zechce przebaczyć?“

„Bądź pewny Henryku! iż i On ci przebaczy,“ odrzekła Ita. „Jego miłosierdzie dla pokutujących grzeszników nie zna miary — miłość Jego ku dzieciom niewypowiedziana. On ci zapewnie dawniej już przebaczył, równie jak ci zupełnie przebaczyłam. Za jego dopuszczeniem wszystko się stało, uznał to albowiem za zbawienne. Może mieszkając wśród pięknego zamku bylibyśmy oboje zapomnieli na Boga, i opuścili drogę cnoty; używając spokojnie spływających, za nadto hojnie błogosławieństw doczesnych, możebyśmy byli popadli wiecznej zgubie. Bóg zaś tak nami zarządził, iż rozłączeni od siebie zostaliśmy jego dobrocią zachowani dla nieba i Jego chwały.“ Nie mógł się Henryk oprzeć dłużej słowom tak uprzejmym, tak pociechy pełnym. Z wzniesionemi ku Icie ramiony, Henryk zaczął ściskać jej ręce, wyniósł je w końcu ku niebu i zawołał: „Dzięki Ci Wszechmocny! wieczne dzięki za Twe nieskończone miłosierdzie, i za tę może najszczęśliwszą chwilę mojego życia. Błagam Cię raz jeszcze, chciej mi przebaczyć, zlituj się nad Twym niegodnym sługą.“ Od Ity także żądał raz jeszcze przebaczenia, przyobiecując jej stokrotne wynagrodzenie wyrządzonej okropnej krzywdy. Lecz zarazem zaprzysiągł śmierć i zniszczenie temu, który był dlań przyczyną tak okropnej niedoli.

Ita słysząc straszliwą przysięgę, zadrżała cała; rzekła więc do niego: „Nie chciej zapomnieć Henryku! ile razy miałeś przyczynę do żalu, jeśliś w gniewie coś postanowił lub wykonał. Przypomnij sobie, coby się z nami działo, gdyby nas Bóg chciał po każdym naszym grzechu tak prędko karać. Błagam cię, chciej wysłuchać mej prośby, chciej być tak litościwym, jak Bóg nim jest ku nam. Przebaczyłam Tobie i wszystkim, którzy dali powód do mego pozornego nieszczęścia. Niechaj z mej przyczyny ani kropla krwi nie będzie przelana. Przebacz mu popełnione błędy tak jak ja mu przebaczam — a za to Bóg nam nasze winy odpuści.“ Henryk nie mógł nic odmówić swej Icie, ani się zdołał oprzeć jej prośbie. Tak ocaliła Ita życie temu, który chciał być mordercą jej życia i niewinności. Lecz Dominikowi to ocalenie nienadługo się przydało. Jak się tylko dowiedział, że Ita jeszcze żyje i że się hrabia o jej niewinności przekonał, wpadł w zupełną rozpacz. Po tylu spełnionych czynach haniebnych nie spodziewał się litości u ludzi, a gdy sobie wspomniał na wieczność, na surowe sądy Boże z jednej, a na swe zbrodnie i grzechy z drugiej strony, nie chciał zaufać wielkiemu miłosierdziu Boga. Jak kończy wielu innych podobnych mu zatwardziałych zbrodniarzy, podobnie i on zakończył swe nikczemne życie okropną zbrodnią samobójstwa, ściągając na siebie zgubę doczesną i wieczną.

ROZDZIAŁ XVII.

Ita wierna służebnica Boża.

Jeszcze raz dziękował Henryk Panu Bogu za cudowne uratowanie swej drogiej Ity i nie mógł się dosyć nadziwić, że tak dobrze i zdrowo wyglądała na twarzy. Przypisywał to wpływowi wszechmocności i dobroci Ojca w niebiesiech. Aby wypełnić dane uroczyście przyrzeczenie, przedstawił Icie, aby z nim wróciła na zamek, zaręczając, że będzie sobie miał za powinność otoczyć ją wszelkiemi oznakami uszanowania i być osobiście gotowym na jej usługi.

Chciał jej tym sposobem wynagrodzić we dle możności wyrządzoną krzywdę.

Ita wnioskowała już z słów poprzednich Henryka, że tego po niej żądać będzie. Lecz chciała pozostać wierną swemu postanowieniu, chciała raczej sama służyć Bogu, niźli doznawać usługi od ludzi. Bez wachania opowiedziała hrabiemu swój raz powzięty zamiar, ufając jego dobremu sercu, iż na to zezwoli. Z wejrzeniem pełnem przywiązania rzekła do niego: ,,Drogi Henryku! nie jest w mej mocy twemu żądaniu zadosyć uczynić. Wtenczas albowiem, gdy mnie świat odepchnął, a Bóg tak po ojcowsku przyjął i zachował, uważałam siebie za własność Bożą, do Boga zupełnie należącą. Jemu się też zupełnie oddałam. Uroczyście przyrzekłam, poświęcić pozostałe mi dni życia li tylko samemu Jezusowi Chrystusowi, memu Zbawcy. Dla Niego, który mię po dwa razy ocalił, pragnę żyć w oddzieleniu zupełnem od świata i skończyć me życie na Jego usługach. Nie wyszłoby ci na dobre, gdybyś Bogu własność Jego chciał zatrzymać, chcąc mię mieć u siebie. Z mej zaś strony zawiniłabym czarną niewdzięcznością, gdybym się poważyła zapomnieć na wielkie dobrodziejstwa, jakich cudownym sposobem doznałam, i zrzekłszy się danego przyrzeczenia, chciała z tobą pozostać. Na Boga cię zaklinam, nie przeszkadzaj mi w wypełnieniu tej świętej obietnicy; owszem chciej mi do tego zezwoleniem z twej strony dopomódz, abym się mogła wypłacić z długu u Boga zaciągnionego.''

Chociaż Henryka te słowa boleśnie dotknęły, nie mógł się im jednak sprzeciwiać. Uznał, iż była własnością godną Boga, nie ważył się więc dalej naruszać prawa, jakie do niej miały niebiosa. Prosił jej tylko, aby przyjęła lepsze pomieszkanie, które jej obiecał zbudować, dodając: ,,O tę drobnostkę cię błagam, a w istocie chętnie bym tysiąc razy więcej dla ciebie uczynił, gdyby było w mej mocy". Ita słysząc, iż jej w wypełnieniu danego przyrzeczenia nie zechce przeszkadzać, rzekła uradowana: ,,Wypada kochany Henryku, abym ci wyznała wszystko. Nie myślałam ani a lepszem mieszkaniu ani o utrzymaniu wygodniejszem wtenczas, gdym Bogu przyrzekła żyć w oddzieleniu od świata. Owszem postanowiłam obrać sobie proste ubogie pomieszkanie w miejscu samotnem. Lat siedmnaście takiego pobytu upłynęło mi wśród błogosławieństwa Bożego. Obiecałeś, że mi nie będziesz przeszkadzał w wypełnieniu mej obietnicy; pozwól także, abym w tem mizernem mieszkaniu, na samotnem miejscu powzięty tu sposób życia dalej prowadziła. Błagam cię raz jeszcze, pozwól mi tutaj pozostać, abym bez przeszkody na tem samotnem miejscu spełniała dalej obowiązki ciągłej wdzięczności ku memu największemu dobroczyńcy na niebie."

Henryk zbijał wedle możności przedstawienia Ity, lecz w końcu sobie pomyślał: Jać to sam wypchnąłem tak dobrą, lubą i niewinną małżonkę. Ta myśl do łez go pobudziła, a serce było niezdolne dostarczyć dostatecznych zarzutów. Ita nie odstąpiła od swego. Widząc, iż się wieczór zbliża, ostrzegła hrabiego, aby przyspieszył swój powrót, nim noc zapadnie, i aby nie błądząc po lesie, bezpiecznie i cało wracał na zamek. Hrabia ponowił swe prośby, aby nie gardziła jego dobremi chęciami; i giermek także o to prosił. Ale Ita odpowiedziała, iż nie było w jej mocy tego uczynić. Rozłączyli się więc, życząc sobie szczerze dobrej nocy. Henryk polecając się pobożnym modlitwom Ity, wrócił z myśliwym do zamku.

Wróciwszy do domu, wezwał do siebie kapelana zamkowego, szukając u niego rady i pociechy. Jemu najprzód oznajmił tę tak ważną sprawę swego serca. Tego samego wieczora opowiedział mu wśród łez i łkania całą historyę Ity; jak mu wspaniałomyślnie przebaczyła, jak go mile i uprzejmie przyjęła. Nie zamilczał i tego, iż Ita chce pozostać w samotności i tam postanowiła żyć i umierać, nie zmieniając dotychczasowego mieszkania w lesie; że mu to

sprawia wielką boleść. Opowiedział dalej, jakie jej z swej strony zrobił uwagi, błagając ją, by niemi nie gardziła; lecz że pozostała niewzruszoną w swem postanowieniu. Polecił z prośbą kapelanowi, by przemyśliwał koniecznie nad środkami ulżenia dobrej hrabinie w jej przykrem położeniu; aby mu wynalazł pożądaną sposobność wynagrodzenia Icie za krzywdy wyrządzone. W końcu go prosił, by odwiedził z nim nazajutrz hrabinę, przypuszczając, iż przeważne wstawienie się kapelana może zdoła nakłonić hrabinę, iż spełni jego prośby.

Kapelan zamku zezwalając na wszystko z największą chęcią, pocieszał hrabiego słowami Ity; a ponieważ niedaleko było do północy, radził mu, by się udał na spoczynek i aby używając zdrowego snu, którego mu z serca życzył, pokrzepił nieco swe siły. Henryk poszedł za jego radą, lecz niewiele spał, a ledwie że dnieć poczynało, opuścił łoże, wyszukał dobre suknie dla hrabiny, która go o takowe była prosiła, i wnet był gotów udać się w podróż do lasu. Kapelan także nie dał długo na siebie czekać; ucieszony i pełen pragnienia, by jak najrychlej obaczyć hrabinę. Strzelca sobie wzięli za przewodnika i dali mu nieść suknie i żywność. Wszyscy trzej wyszli jak najraniej z zamku, nie ogłaszając nikomu, dokąd się mają zamiar udać.

Ita spodziewała się tych odwiedzin. Odprawiła raniutko swe poranne pacierze i właśnie je kończyła, gdy hrabia z kapelanem i strzelcem stanął u jej chaty. Zatrzymała się, aż jej Henryk podał lepsze suknie, które wedle obietnicy dla niej przyniósł — a skoro się ubrała, wyszła do przybyłych, pozdrowiła wszystkich trzech, z widoczną zaś radością powitała kapelana. Henryk zaraz ją zapytał, czy dobrze spała, i czyli się nie namyśliła inaczej. Na co mu odrzekła: „Spałam dobrze, lecz nie zmieniłam bynajmniej mego wczorajszego postanowienia — to bowiem jak wiesz nie odemnie zależy.” Tu zaczął kapelan prosić hrabiny, by mu ostatecznie oświadczyła, w jakim rodzaju uczyniła swe postanowienie, chciał ją dobrze wybadać i jej zarzutom gruntownie odpowiedzieć.

Ita przejęta uszanowaniem dla godnego kapłana, opowiedziała mu powtórnie, co dnia wczorajszego hrabiemu była opowiedziała, dodając w końcu: „Nietrudno wam wnioskować z tego, co wam szczerze wyznałam, iżbym się ciężkiej obrazy Boga dopuściła, gdybym się poważyła cofnąć przyrzeczenie tak uroczyście uczynione.

Kapelan zastanowił się na chwilę; poczem rzekł: Nie można zaprzeczyć, iż przyrzeczenie słuszne i chwalebne: wypada je święcie wypełnić. Lecz pozwólcie, abym Wam z mej strony przedłożył niektóre uwagi, wedle których chciejcie sami osądzić, czyliby się nie dało, tak samo, jak tutaj, a może jeszcze dokładniej uczynić zadosyć temu przyrzeczeniu na innem miejscu. Przyrzekliście służyć Bogu w samotności. Wszakże i gdzieindziej nietylko tutaj możecie żyć samotnie i na osobności; zawsze jednak bliżej ludzi, chociaż o tyle, by w razie potrzeby znaleźć u nich pomoc. My ludzie ogółem, a więc i Wy, mamy obowiązek, życie, ten dar Boży, wedle możności, jak najdłużej zachować. Im dłużej bowiem żyjemy, tem dłużej możemy zasługiwać się u Boga.

Z tego wypada, że nietylko Wam wolno, lecz nawet powinnością jest Waszą, abyście sobie obrali miejsce dalszego pobytu, w sąsiedztwie z bliźnimi Waszymi będące. Dłużej natenczas będziecie mogli służyć Bogu. Czego zaś potrzeba, aby prawdziwie i z chwałą służyć Bogu — o tem wykształcona chrześciańska niewiasta jaką jesteście, tak wie dobrze, jak i ja. Wspomnijcie sobie na ów wypadek opowiedziany w ewangelii ś., gdzie pewien z ludu pytał się Jezusa, co ma czynić, aby był zbawiony? Jezus mu odpowiedział: Kochaj Boga nade wszystko — to pierwsze i największe przykazanie; kochaj bliźniego jak samego siebie — to drugie równe pierwszemu przykazaniu. Skoro wypełnisz te dwa przykazania, będziesz zbawiony. W wielu innych miejscach powtarza Chrystus Pan to samo, nauczając wyraźnie, że kto chce Bogu służyć, ma sobie uważać za najmilszą i niezbędną powinność, za której wypełnienie najwięcej się będzie Bogu podobał: aby okazywał uczynkami swą miłość ku bliźniemu, aby był dobroczynnym i litościwym. Jeśli więc, czcigodna hrabino chcecie wypełnić przyrzeczenie Wasze i Bogu się jedynie poświęcić przez resztę życia, powinnością staje się dla Was, obyście opuścili to miejsce, a takie sobie obrali, gdzie i bliźnim Waszym służyć będziecie.

Podobnie jak Henryk dnia wczorajszego nie był w stanie zbić zarzutów Ity, tak samo znowu dzisiaj Ita nie mogła nic zarzucić przed-

stawieniom kapelana, który swe słowa opierał na jasnych wyrokach Boga. Te zaś sercu Ity były świętemi. Z prawdziwą uciechą patrzał Henryk na jej pomieszanie, a Ita opamiętawszy się, rzekła: „Chociaż szczera prawda w słowach Waszych, czcigodny kapłanie! się mieści, przyzwyczaiłam się jednak przez długie lata, aby nic nie postanawiać, póki się pierwej z Bogiem w serdecznej modlitwie nie naradzę. Pozwólcie, abym się i w tym wypadku do mego najlepszego doradzcy udała. Jutro zaś dowiecie się dokładnie, co za Jego natchnieniem uczynić postanowię." Z uciechą przystał na to kapelan, będącprawie pewnym pożądanego skutku. Zabierał się do odchodu, aby Ita prędzej i bez przeszkody tę ważną sprawę przedsięwzięła.

(Dokończenie nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

FANTASTYCZNE POSTACIE LUDOWE.

PRZEZ

K. Wł. Wojcickiego.

(Ciąg dalszy.)

Na plecach przenieśli chudobę swoją, bo brat nieludzki odmówił fury. Karczmarz kupił pozostałego wołu na pół darmo: z Jonka, zamożnego gospodarza, stał się teraz wyrobnik.

Przy pustej chacie, miał tylko mały warzywny ogródek i kilka zagonów pod kartofle i kapustę, które skrzętnie uprawiała żona z dziećmi. Tak w biedzie przetrwali długie lata — a gdy Antek stał się nietylko we wsi, ale w całej okolicy, najbogatszym gospodarzem, Jonek był najuboższym zagrodnikiem.

Bogaty Antek sute sprawiał wesele najstarszej córce gdy głód zajrzał do chaty Jonka. Kiedy poszedł do kościoła, zobaczył brata, bratowę i dzieci ich postrojonych, siedzących w pierwszych ławkach: organista hucznie przygrywał, a Jonek w kąciku płakał drżąc z zimna i głodu.

Zdala za weselnym orszakiem szedł ocierając łzy gorzkie, i mimowoli do gniazda dawnego przyszedł, co mu przypomniało jego lata dziecięce. Kapela w izbie grzmiała: Jonek stanął w sieni na uboczu, gdy ujrzał brata, jak dumnie przechodził.

— Panie bracie! rzekł drżącym głosem, Boże błogosław! Jam głodny, żona i dziatwa głodni, wspomóżcie mnie w tym dniu dla was tak uroczystym. Właśnie tej chwili kucharka niosła misę mięsiwa pieczonego: Antek spojrzał groźnie na brata, a mrucząc:

— Próżniaków nie wspomagam, wziął gnat prawie bez mięsa i podał Jonkowi.

Ten na poły struchlały z oburzenia i rozpaczy, wziął go w rękę, sam nie wiedząc co robi i wybiegł na wieś.

Rozpacz złe tylko rady daje, teraz poszepnęła mu do ucha:

— Co masz taką biedę znosić, ot idź do strumienia, przy dąbrowie, tam głębia, to i skończysz wszystkie cierpienia.

Jonek, jakby usłyszał głos anioła stróża, już nie szedł ale pobiegł do dąbrowy. Kiedy stanął nad głębiną strumienia, poczuł głód większy, usiadł na łączce, i zaczął darowany gnat ogryzać z odrobin mięsiwa.

Gdy chciwie tak zajada, uczuł jakby na ramionach lekkie dotknięcie, a potem cichą prośbę:

— Daj i mnie trochę mięsa, daj i mnie!

Jonek obejrzał się po za siebie i ujrzał szczególne widmo. Słońce właśnie z południa przygrzewało.

Widmo stało wysokie, kościste, które tak cienka skórka powlekała, że na wskroś je przejrzałeś. Oblicze chude, wybladłe, oczy za-

padłe, podsiniałe, przy trupiej białości, dziwnie odbijały różane usta i zęby białe. Nagość swoją, okrywało płachtą z pajęczyny, brudną jak ścierka zszarzana, ale przezroczystą. Na głowie miało wianek z uschłej i kruchej paproci. Jonek był chłop dobrego wzrostu, widmo przenosiło go o całą głowę.

Chociaż straszna to postać na oko, jakoś się nic nie przestraszył, ale patrząc na nią rzekł z uśmiechem:

Cóż ty chcesz, żebym ci dał, kiedy widzisz, że to kość naga prawie?

— Musisz mi dać resztki, wyszeptało widmo z cicha, muszę choć polizać, bo ja jestem twoją **b i e d ą**, co ci od lat tylu towarzyszę po bratersku!

Na te słowa zerwał się Jonek na równe nogi.

— A ty pogańskie plemię, krzyknął w uniesieniu, to z twojej przyczyny mrę głód z rodziną, to ty naniosłaś niedolę!

Dobrze żem cię spotkał, teraz cię zabiję, choćbym zgnił w kajdanach!

Ale b i e d a, nie ruszając się z miejsca, spokojnie odrzekła:

— A cóż mnie zrobisz, b i e d n y człowieku, kiedy mnie nikt ani zranić ani zabić nie może. Ciało moje z mgły, nie zachowa śladu uderzenia, jak nie masz śladu po wężu, co się przesunie po łące. Słuchaj mnie! oddaj mi kość swoją, a na kilka godzin opuszczę ciebie, żonę i dzieci, i zostawię w pokoju.

Na to wspomnienie, ochłonął do razu Jonek, i ze łzami w oczach, podał gnat trzymany w ręku.

B i e d a, chciwie go schwytała, ogryzła żyły co było ich jeszcze, a dojrzawszy trochę szpiku w głębi otworu kości, włożyła jedną i drugą, potem głowę i cała się tam wsunęła tak, że tylko długie a chude nożyska się zwieszały.

Jonkowi przychodzi szczęśliwa myśl do głowy, co prędzej, kawałek gałęzi, kozikiem zastrugał, porwał kość, wsunął w rurę nogi b i e d y i zabił doskonale przygotowanym kółkiem, poczem w tę samą głębinę rzucił i zatopił.

Zaledwie strumień zaszumiał, uczuł w duszy szczególny spokój: serce napełniła dziwna radość i po wielu latach, pierwszy raz odetchnął z całą swobodą.

Rad i rzeźwy, wraca do swej chaty: a koło karczmy zastępuje mu kilku sąsiadów, każdy go ściska i całuje, a zaprasza na kieliszek. Trudno było odmówić. Za stołem zaczęli poczciwi sąsiedzi przypominać sobie dawne czasy, zamożność Jonka, jego pracowitość i miłosierdzie, a czyste, sumienne zawsze z każdym postępowanie. Przyszło do rozczuleń wzajemnych, aż w końcu, jeden z sąsiadów podał myśl, czy by z nimi nie wziął udziału, w wyrąbaniu pni w poblizkim lesie, i przewiezieniu do miasta. Napróżno się im Jonek tłomaczył swoją biedą, i brakiem inwentarza: najstarszy wiekiem zaraz powstał, a z trzosa dobywszy sześćset złotych srebrem zaliczył mu, żeby się w swej chudobie ogarnął i dobrego konia kupił.

Płakał z radości Jonek, w końcu przyjął ofiarę i współkę. Wraca do chaty, aż na progu wita go żona uradowana i wesoła dziatwa. Ktoś uwiadomił dwór o strasznej nędzy całej tej rodziny, przysłano im całą furę: mąki, zboża, słoniny, kaszy i grochu, a nadto sto złotych.

Jonek słuchal o cudzie Bozkim, ukląkł z żoną i dziećmi przed obrazkiem Matki Bozkiej, a po gorącej modlitwie, opowiedział wiernie przygody swoje.

Odtąd wszystko szło mu jak z płatka. Odbudował nową chatę, zakupił przyległe całe gospodarstwo. Para dobrych koni rżało u żłobu, cztery krowy dojki w oborze, i dwie pary wołów. Teraz sam zajęty robotą w lesie, przyjął dwóch parobków a żonie dziewuchę do pomocy. I nie brakło mu nic, jeno jako mówią ptasiego mleka.

Zazdrosny Antek, zdumiał się nad nagłem szczęściem brata; powoli się więc zbliżył do niego i przyjacielskiem wabiąc słówkiem, zaprosił do siebie na kieliszek k r u p n i k u.

Jonek co miał zawsze dobre serce, przyjął zaprosiny: po jednym i drugim kieliszku zmiękł zaraz, a gdy brat rzucił podejrzenie, o nieuczciwym sposobie poprawienia swej doli, wówczas, opowiedział mu wiernie całe swoje zdarzenie z b i e d ą.

Na to czekał chytry Judasz: uściskawszy brata niby czule i serdecznie, pobiegł coprędzej do strumienia. Długą tyką dobył kości, a gdy wyrwał drewniany kołek, zabity ręką Jonka, bieda wyskoczywszy ze swego więzienia, porwała go w swe objęcia i zawołała uszczęśliwiona.

— O mój wspaniały wybawco, teraz cie-

bie się trzymać wiernie będę i do śmierci nie opuszczę.

Struchlał zły Antek na te słowa, bo b i e d ę chciał wypuścić na brata, a ona się jego uczepiła, i zaraz doznał smutnych skutków.

Gdy dochodził do domu, ujrzał gumna swoje w płomieniach: krowy na pastwisku pies wściekły pokąsał, konie jedne z jakiejś zarazy padły w stajni, drugie wilcy następnej nocy podusiły.

I w kilka dni był równym nędzarzem, jak brat jego niedawno. Ale poczciwy Jonek, nie odmówił mu swej pomocy: wspierał ile sił, ale wszystko szło w marność, i niedługo Antek ze zgryzoty umarł, a b i e d a dopiero opuściła osieroconą wdowę i dzieci, przenosząc się do innego chłopa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DODATEK DO HISTORYI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

ARTYKUŁY KONFEDERACYI.

ARTYKUŁY KONFEDERACYI

i wiecznej unii pomiędzy stanami New Hampshire, Massachusetts Bay, Rhode Island i Providence Plantacyami, Connecticut, New York, New Jersey, Pennsylvania, Delaware Maryland, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

ARTYKUŁ I.

Konfederacya ta ma nosić miano „Stany Zjednoczone Ameryki".

ARTYKUŁ II.

Każdy stan zatrzymuje swoje prawo rządzić się, wolność, niepodległość, każdą moc, jurysdykcyę i prawo, które się tyczy tej konfederacyi, rozmyślnie delegowane do Stanów Zjednoczonych w kongresie zgromadzonych.

ARTYKUŁ III.

Stany te, każdy z osobna, wchodzą w stałą ligę przyjaźni z drugimi dla wspólnej obrony, bezpieczeństwa, ich wolności i wspólnego i ogólnego dobrobytu, obowiązując się pomagać jeden drugiemu przeciw wszystkim gwałtom przeciw nim przedsięwziętym, lub napadom na nich wszystkich, lub na pojedyncze stany z powodu religii, zwierzchnictwa, handlu, lub jakiej pretensyi.

ARTYKUŁ IV.

Aby lepiej zabezpieczyć i uwiecznić wspólną przyjaźń i stosunki pomiędzy ludnością pojedynczych stanów tej unii, wolni mieszkańcy tych stanów, wyjąwszy pauperów, włóczęgów i zbiegów przed sprawiedliwością, mają mieć przywileje i prawa wolnych obywateli w pojedynczych stanach i ludność każdego stanu ma mieć wolny wstęp i występ do i z każdego innego stanu, i mają mieć prawo do każdego przywileju handlu i kupiectwa, podlegając tym samym powinnościom, impozycyom i ograniczeniom, jakie mieszkańcy każdego stanu posiadają, pod warunkiem, że takie ograniczenie nie ma być posuniętem tak dalece, aby zapobiedz zabraniu własności z jednego stanu przeniesionej do innego stanu, którego mieszkańcem jest właściciel, pod warunkiem także, że żaden nakład, podatek lub ograniczenie nie ma być nałożone przez jakikolwiek stan na Stany Zjednoczone, lub na którykolwiek z nich.

Osoba jakakolwiek winna lub której się zarzuca zdradę, zbrodnię lub ważne przestępstwo, która ubiegła przed sprawiedliwością i zostanie znaleziona w jednym ze Stanów Zjednoczonych, za żądaniem gubernatora lub władzy wykonawczej stanu z którego ubiegła, ma być wydaną do stanu, który ma juryzdykcyę nad jej przestępstwem.

Każdy z tych stanów ma pokładać wiarę i kredyt w akta, dokumenta i sądowowe prowadzenia sądów i magistratów każdego stanu.

ARTYKUŁ V.

Dla lepszego zarządu ogólnymi interesami Stanów Zjednoczonych, mają być różni wyznaczeni delegaci w taki sposób, jaki legislatura każdego stanu uzna, którzy się zgromadzą w kongresie w pierwszy poniedziałek w listopadzie, każdego roku; każdy stan ma prawo odwołać swych

delegatów, lub jakiegokolwiek z nich, w każdym czasie roku i posłać innych w ich miejsce na pozostałą część roku.

Żaden stan nie ma być reprezentowany przez mniej jak dwóch, ani przez więcej jak siedm członków, i nikt nie może być delegatem dłużej jak trzy lata, w przeciągu sześciu lat: żadna osoba, będąca delegatem, nie ma prawa dzierzyć urzędu w Stanach Zjednoczonych, za który ona, lub ktokolwiek inny na jej korzyść, odbiera pensyę, płacę, lub wynagrodzenie jakiegokolwiek rodzaju.

Każdy stan ma utrzymać swoich delegatów na posiedzeniu stanów i podczas gdy są członkami komitetu stanów.

Przy roztrzyganiu kwestyi tyczących się Stanów Zjednoczonych zgromadzonych w kongresie, każdy stan ma mieć jeden głos.

Wolności mowy i debatowania w kongresie nie ma nikt wstrzymać, i sprawy takowe nie mogą być roztrząsane przed jakimkolwiek sędzią, lub miejscem po za kongresem, i członkowie kongresu mają w swych osobach być obronieni od aresztu i uwięzienia, podczas gdy idą do kongresu, wracają z niego lub są na nim obecni, wyjąwszy za zdradę, zbrodnię lub zawichrzenia pokoju.

ARTYKUŁ VI.

Żaden stan bez pozwoleństwa Stanów Zjednoczonych zgromadzonych na kongresie, nie ma wysłać poselstwa, lub przyjąć takowe, albo odbyć konferencyę, zawrzeć ugodę, przymierze lub traktat, z jakim kolwiek księztwem lub państwem; żadna osoba mająca urząd płatny lub odpowiedzialny w Stanach Zjednoczonych, lub w pojedynczym stanie, nie może przyjąć daru, wynagrodzenia, urzędu jakiegokolwiek od cesarza, króla, książęcia lub państwa zagranicznego, ani mogą Stany Zjednoczone zgromadzone w kongresie lub pojedynczy stan nadać komukolwiek tytuł szlachectwa.

Żadne dwa lub więcej stanów nie mogą zawrzeć traktat, konfederacyę, przymierze jakiekolwiek pomiędzy sobą, bez pozwoleństwa Stanów Zjednoczonych zgromadzonych w kongresie, nie oświadczając dokładnie dla jakich przyczyn takowe zostają zawarte, jak długo mają trwać.

Żaden stan nie ma nakładać podatków lub powinności któreby się sprzeciwiały warunkom traktatów zawartych przez Stany Zjednoczone zgromadzone w kongresie z jakimkolwiek królem książęciem lub państwem, na mocy traktatów już przedłożonych przez kongres dworom Francyi i Hiszpanii.

Żaden stan nie ma prawa utrzymać statków wojennych, wyjąwszy tyle ile przez Stany Zjednoczonone, w kongresie zgromadzone, dla obrony tego stanu, lub jego handlu zostało przeznaczonych; żaden stan nie ma także utrzymać żadnych zbrojnych oddziałów w czasie pokoju, wyjąwszy lekkich, jakie podług zdania Stanów Zjednoczonych, w kongresie zgromadzonych, będzie uważaną za potrzebną na załogi do warowni potrzebnych dla obrony takiego stanu; lecz każdy stan ma zawsze utrzymywać dobrze uregulowaną i w karności utrzymaną milicyę, dostatecznie uzbrojoną i zaopatrzoną w potrzeby; i ma się zaopatrzyć i mieć w pogotowiu w składach publicznych pewną liczbę dział polnych i namiotów i odpowiednią ilość broni, amunicyi i zasobów obozowych.

Żaden stan nie ma rozpoczynać wojny bez pozwoleństwa Stanów Zjednoczonych zgromadzonych w kongresie, wyjąwszy jeżeli taki stan został napadnięty przez nieprzyjaciół, lub też dostał uwiadomienie o rezolucyi uchwalonej przez jaki naród indyański chcący wpaść do owego stanu, a niebezpieczeństwo jest tak wielkiem, iż nie ma czasu spytać się o radę Stanów Zjednoczonych w kongresie zgromadzonych; żaden stan nie ma wydać komisyi okrętom lub statkom wojennym, lub listów upoważniających takowe do odwetu lub kroków zaczepnych, wyjąwszy po deklaracyi wojny przez Stany Zjednoczone zgromadzone w kongresie; i wtenczas tylko przeciw królestwu lub państwu i jego mieszkańcom, któremu wojna została wypowiedzianą i tylko pod takimi warunkami, jakie zostały ustanowione przez Stany Zjednoczone w kongresie zgromadzone, wyjąwszy gdyby rozbójnicy morscy napadli na taki stan, w którym to przypadku mogą być wysłane okręty wojenne i tak długo utrzymane, dopokąd niebezpieczeństwo będzie istniało, lub Stany Zjednoczone w kongresie zgromadzone, inaczej nie rozporządzą.

ARTYKUŁ VII.

Jeżeli dla obrony ogółu zbierają się siły lądowe, mają wszyscy oficerowie w stopniu pułkownika lub niżsi oficerowie, być zamianowani przez władze prawodawcze każdego stanu, który takowe zbiera, lub też w taki sposób, jak stan rozporządzi; i wszystkie wakanse mają być zapełnione przez stan który pierwszy zrobił nominacyę.

(Dokończenie nastąpi).